

ODPIS

47
49

III Kps.-316/46.

Protokół przesłuchania świadka.

Kościan, dnia 19 października 1946 r. Sąd Grodzki w Kościanie w osobie sędziego grodzkiego M. Andreżowicza, działając w trybie art. 254 KPK i art. 19 przep. wpraw KPK na wniosek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Poznaniu przesłuchiwał w charakterze świadka

Teodora Filipowicza, który po uprzedzeniu go o odpowiedzialności za fałszywe zeznania zeznał:

Teodor Filipowicz, l. 55, kierownik krochmalni, wy. katolik, zam. w Szczepowicach pow. Kościan, w stosunku do Rudolfa Hössa - obcy. ----
Po rozpoczęciu okupacji niemieckiej byłem trzykrotnie aresztowany, ostatni raz na jesieni 1941 roku. Po pobycie w więzieniu w Kościanie wywieziono mnie do Poznania do Fortu VII, skąd po 7 miesiącach przewieziono mnie do Oświęcimia. Żadnej rozprawy sądowej nie było i żaden wyrok nie był mi ogłoszony. W Oświęcimiu przebywałem od lutego 1942 do października 1944 roku, to jest do ewakuacji do Sachsenhausen. Do Oświęcimia przybyło w transporcie razem ze mną 64 więźniów z Fortu VII - pozostało przy życiu dotychczas tylko 34ch. Obóz w Oświęcimiu był jednocześnie centralą, do której należały obozy pomocnicze w Rajsku, Brzezinkach: Buna Werke. Największy był obóz w Brzezinkach. Na czele bałwości stał Rudolf Höss, Obersturmbannführer SS z tytułem Lagerkommandant. Jemu byli podlegli komendanci poszczególnych obozów z tytułem Lagerführerów. Przez cały czas mego pobytu w Oświęcimiu Lagerkommandantem był Rudolf Höss. Lagerführerem obozu Oświęcim byli za moich czasów kolejno - Aumeier, Hoffmann, Lubehenschel, Hoffmann, Hessler. Zastępca Lagerführera był Schwarz. Kierownikiem oddziału politycznego /"Politische Abteilung"/ był Grabner. Funkcjonariusze oddziału politycznego chodzili przeważnie w cywilnych ubraniach lub czasami w mundurach, czasami w ubraniu cywilnym. Do Oświęcimia przybyliśmy około godziny 6-ej wieczór i do jutra rano

do godziny 9-tej nie byliśmy wcale zakwaterowani. Musieliśmy stać pod gołym niebem, pomimo mrozu. Żrana zaprowadzono nas do łaźni, a potem nagich pomiędzy bloki 25 i 26, stamtąd dopiero na korytarz bloku, gdzie wydano nam ubranie. Po ubraniu umieszczono nas na bloku XI eksekucyjnym, bo tam był mur, na którym dokonywano rozstrzeliwań. Obok był X blok doświadczalny, gdzie mieściło się 800 kobiet. Robiono tam jakieś doświadczenia ze sztucznych zapłodnieniem. Do tego celu pobierano spermę od niektórych specjalnie wybranych zdrowych więźniów. Pierwszy posiłek w obozie w Oświęcimiu otrzymaliśmy dopiero na 3-ci dzień po przyjeździe, wieczorem. Była to herbata z miętą w ilości około 1/4 litra i 1/6 część bochenka chleba. W międzyczasie, to jest do chwili otrzymania tego pierwszego posiłku z naszego transportu 2 ludzi zmarło, a jeden został zabity uderzeniem w brzuch przez komendanta bloku podczas ćwiczeń gimnastycznych. Ewakuacji zabitego kazał zabójca z miejsca wrzucić do ustępu. Potem ewakuacji trzeba było wyjść z ustępu, obmyć, wyprać ubranie i dostarczyć na apel. Zakwaterowani byliśmy w barakach murowanych lub drewnianych. Ja dostałem się do bloku 22 i zamieszkiwałem w baraku murowanym. W mojej izbie było około 200 ludzi, ulokowanych na łóżkach trzyosobowych, tak, że łożko miało "parter" i "2 piętra". Na każdym poziomie spało 3 osoby, na całym łożku 3osobowym, 9 ludzi. W całym bloku było 1200 ludzi. W izbie nie było oprócz łożek żadnych sprzętów, jak np. stoły, ławki lub półki na rzeczy. Był tylko jeden stół na chleb. Dopiero w roku 1943 otrzymaliśmy na 16 jeden taboret. Mieliśmy tylko miski i to nie każdy oraz drewniane łyżki. Pierwszą zimę nie było wcale palone, następnej zimy był bardzo mały przydział węgla na opał. Okna musiały być otwarte na przestrzał z obu stron, co pierwszej zimy było bardzo ściśle kontrolowane. Sienniki były wypełnione przeważnie wełną drzewną, rzadko słomą, każdy otrzymał jeden koc.

Posiłek otrzymywaliśmy 3 razy dziennie - rano kwaterkę herbaty lub kawy bez cukru i nie posatem. W południe 3/4 litra rzadkiej zupy bez śladów mięsa lub okrasy; przeważnie zupa z brukwi. Wieczorem kawa lub herbata jak rano i 1/6 bochenka chleba. W roku 1943 wyżywienie poprawiło się o tyle, że racja dzienna chleba została zwiększona do 1/4 bochenka, a nadto otrzymywaliśmy 3 razy w tygodniu, "dodatek z chleba" w postaci jednej kostki margaryny z napisem "Nur für Häftlinge" na 20-tu ludzi, albo plasterka kłobasy wagi około 15 gramów, albo łyżki twarogu włącznie marmelady, ta ostatnia również w beczkach z napisem "Nur für Häftlinge". W roku 1944 wprowadzono ponadto dodatek dla ciężko pracujących w formie 1/2 bochenka chleba raz w tygodniu. Pobudka odbywała się o godzinie 4 rano i po pół godzinie przeznaczanej na oporządzenie się i śniadanie następował apel, trwający bez względu na pogodę do godziny 6-ej rano. Potem odmaraz oddziałami do prac. Praca trwała do godziny 6-ej wieczorem z jedną godziną przerwy na obiad. Pracujący poza obozem jedli obiad na miejscu pracy. Po ukończeniu pracy - powrót w zwartym szyku do obozu, przyczem zabierano ze sobą trupów. Po wejściu na teren obozu ustawialiśmy się do apelu. Liczono osobno żywych, a osobno trupy. Jeżeli rachunek nie zgadzał się, apel przeciągał się do późna, bywały wypadki, że do godziny 2 lub 3 nad ranem. Podczas apelu jako zwykłą stosowano czasami polewanie nas w zimie wodą przy pomocy wężów. Normalnie apel kończył się o godzinie 8-ej wieczór. Potem dostawaliśmy kolację, musieliśmy umyć się i oczyścić, a po sprawdzeniu czystości następowało śpiewanie niemieckich pieśni. O 9-ej mniej więcej wpuszczano nas do bloku, gdzie musieliśmy się zaraz kłaść do łóżek i spać. Po klęsce pod Stalingradem rygor zelżał o tyle, że pozwalano prędzej wchodzić do baraku, wolno było usiąść na taborecie lub na krawędzi łóżka, ale nie na sienniku. Prace do których używano więźniów były różne jak na przykład budowa, regulacja Wisły i Soli, wyładowywanie

wagonów. Najgorsza była praca przy walcach do ugniatacia szosy. Do takiego waju wpręgano 20 ludzi, przyczym dozorcujący SS-manni amuszali ciągnąć biegiem. Przy tej pracy więzień wytrzymywał normalnie tylko około 14 dni. Bardzo ciężka była praca przy kopaniu żwiru, który trzeba było wieźć w żelaznych taczkach. Trasa nie była wyłożona deskami, jak się to normalnie praktykuje, taczki grzeszyły więc w żwirze i wymagały ogromnego wysiłku przy popychaniu. Nadłuż trasy stał szpaler SS-mannów z drewnianymi kijami, którymi bili więźniów, poganiając do zwiększenia wysiłku. Ta praca również szybko wykańczała więźniów, wielu padało podczas pracy. Tego, kto upadł, dozorca kazali zruczać do dołu na żelazne taczki. Dół był około 6 metrów głęboki, po upadku ciała słychać było chrząstki zmiażdżonych kości i jęki ofiary. Zdawało się, że zruczony długo jeszcze jęczał. Czasami bardziej litościwy wachman dobijał go strzałem, czasami musiał czekać na normalne, nadejście śmierci, co trwało nieraz długo. Miejsce, gdzie stracano przetrzymujących przy kopaniu żwiru nazywano "Paliczgrube", ponieważ dawniej funkcjonariusz oddziału politycznego nazwiskiem Palicz dokonywał w tym miejscu rozstrzeliwań. Zmęczenie się nad więźniami było na porządku dziennym. Życie ludzkie było całkowicie zależne od kaprysu wachmana. Z dużego tłumaczenia szczerze nie było potrzeba - należało tylko dostarczyć na apel zwłoki. Przymyślając sobie taki wypadek, jak wachman stracił więźnia zatrudnionego przy kopaniu dołu na fundament. Kiedy się więzień podnosił, zrzucił mu na głowę cegłę, a przy ponownym podnoszeniu się, jeszcze jedną cegłę. W dole, gdzie leżał nieszczęśliwy była woda. Wtedy wachman zaczął kląć nas zatrudnionych przy kopaniu i wymyślać, że nie pomagamy kolegi, który tonie. Rzuciliśmy się nadół, ale wydobyliśmy już tylko zwłoki. Wachmani sadyści stosowali często topienie więźniów; każąc kolegom wopółwięźniom manurzać ofiarę do beczki z wodą w ten sposób, że zanurzono głowę w dół. Podobnych sposobów zabijania więźniów samowolnie było dużo. Jak wspomnianym wystarczyło

dostarczenie zwłok na apel, by sprawa nie budziła już żadnych zastrzeżeń. Na apelach często bywał Rudolf Höss i widział ułożone trupy. W latach 1943 ilość zabójstw zmalała, a w roku 1944 wypadki zabójstw pojedynczych więźniów były rzadkie. Obok tego odbywały się przez cały czas mego pobytu w obozie egzekucje urzędowe, przeważnie masowe. Było to albo wieszanie na szubienicach ustawionych na placu apelowym, albo rozstrzeliwanie przez "Politische Abteilung". Przy wieszaniu więźniów zwykle był obecny sam komendant Höss przy czym wyjaśniano nam na co została zarządzona egzekucja. Na przykład za ucieczkę jednego więźnia Polaka inżyniera - powieszono przy apelu 12 jego kolegów inżynierów Polaków. Przy tej egzekucji Höss był obecny. Bywały wypadki, że przywołano do obozu rodzinę zbiegłego więźnia - żonę dzieci, rodziców. Przywieszonych ustawiano pod specjalną tablicą i kazano wszystkim więźniom maszerować przed tak ustawioną rodziną zbiegłego. Co potem robiono z rodziną zbiegłego - nie wiem. Zwykle podczas apelu wywoływano pewną ilość ludzi, których od razu otaczali wachmani i odprowadzali na blok XI. Tam ich rozstrzeliwano. Zwykle egzekucji tej dokonywał niejaki Paliocz z broni mało kalibrowej. Rozstrzeliwali również i inni pracownicy Oddziału Politycznego jak Boger, Lechnen i Woźnica. Dwaj ostatni byli z pochodzenia Polakami. Na czele oddziału politycznego stał jak znałem wyżej Grabner w stopniu porucznika. Od niego wychodziły listy osób przeznaczonych na rozstrzelanie. Rozstrzeliwań dokonywano niepublicznie widzieliśmy tylko jak zabierano ludzi z placu apelowego i potem jak wieszono zwłoki z terenu bloku XI. Trupy palono w krematoriach, których było w Oświęcimiu jedno, a w Brzezinkach 4. Rozstrzeliwano dziennie 20 - 30 więźniów. Jednego dnia rozstrzelano aż 360. Kiedy przyjechałem do Oświęcimia to krematorium już było. Pracowało ono przez całą dobę aż do roku 1944 - wtedy zaprzestano pracować. Natomiast krematoria w Brzezinkach pracowały przez cały czas aż do mego wywiezienia z Oświęcimia. Koledzy, którzy byli

przy krematorium opowiadali, że wśród trupów przywiezionych z izby chorych zdarzali się również żywi, których razem wrzucano do pieca. Obok krematorium w obozie w Oświęcimiu pobudowano komorę gazową, która miała kształt wału zaopatrzonego w koniny z wentylatorami. Nazewnątrz były klapy do wrzucania naboju z gazem. Jęki i krzyki gazowanych słychać było w obozie. Do zatrucia gazem przeznaczano słabych fizycznie lub chorych. Wywożono ich podczas apelu. Pozatem w komorach tych uśmiercano Żydów. Duże transporty Żydów przybywały w roku 1943 i jeszcze w początku roku 1944. Przywożono przeważnie Żydów z Węgier. Jednego dnia w lecie 1943 roku przybyło aż 18 pociągów Żydów. Pociągi zatrzymywały się nawprost przed krematorium. Przybyłych segregowano na tych co chcą pracować i są silni fizycznie i na resztę, której zapowiadano, że będą musieli odbyć kwarantannę. Dzieci umieszczano narazie w ogrodzie obok krematorium. Dzieciom dawano zabawki i zajmowały się nimi kobiety z SS. Z transportu przeciętnie 300-600 osób pozostawiano do pracy, reszta szła do komory gazowej. Dzieci początkowo zabierano do komory, ale okazało się, że nie wszystkie były zatrute, dlatego zaniechano gazowania dzieci, a pozostawiano je w ogrodzie. Po zatruciu gazem trupy wynoszono do krematorium oraz na tak zwane "areny" - to jest do specjalnych budowli okrągłych, wysokich około 4 metrów wypełnionych drzewem, zlanym ropą naftową. Do tych aren przywożono dzieci i uśmiercano je żywcem. W tym celu były urządzone specjalne poślizgi na które wytrząsano dzieci z ciężarowego auta. Z poślizgu dzieci trafiały w ogień. gdzie były zwłoki starszych. Żydzi przywozili ze sobą dużo żywności i rozmaitych rzeczy. Po zagazowaniu wszystko co pozostało po Żydach było segregowane i odsyłane do magazynów SS. Prace te musieli wykonywać więźniowie z obozu. Pewną ilość żywności połydowskiej dawano do kuchni obozowej, reszta żywności, co

lepsze szło do kuchni lub magazynów SS. Jeżeli chodzi o opiekę nad chorymi więźniami w obozie - to właściwie jej nie było. Większość chorych ginęła podczas pracy lub apelów. Tylko nielicznym udawało się trafić do baraku dla chorych. Łóżka tam były również o 3 kondygnacjach i nie było żadnej pościeli oprócz siennika. Dopiero w roku 1944 przydzielono chorym prześcierała. Obsługiwali chorych sanitariusze ze stanu więziennego, ale nie dysponowali oni żadnymi środkami leczniczymi. Lekarstwa jeżeli się zdarzały, pochodziły z rzeczy pożydowskich; były potajemnie dostarczone przez więźniów zatrudnionych przy segregowaniu mienia żydowskiego. 2 - 3 razy w tygodniu zjawiał się lekarz niemiecki, ale ograniczał się tylko do tego, że przeszedł przez barak. Żadnych lekarstw nie ordynował. W roku 1942 chorowałem latem na tyfus plamisty i przebywałem w baraku dla chorych. Otrzymywałem tylko letnią wodę do picia. Do baraku dla chorych więźniowie obawiali się iść, bo stosowano uśmiercanie zastrzykami, i tylko w okresach, gdy brakło zastrzyków istniały widoki pozostać w baraku. Ja sam przez 11 dni tałem tyfus. W dniu kiedy wychodziłem z baraku dla chorych w godzinę po zakwalifikowaniu mnie do pracy - zjawili się wychwani i wszystkich chorych uznanych za niezdolnych zabrał na auto i wywieźli do krematorium. W czasie epidemii tyfusa w lecie 1942 roku umierało dziennie na tyfus około 1200 osób. Na stronie drugiej dopisano "Hessler", na stronie 3-iej dopisano " Na każdym poziomie spało 3 osoby - na całym łóżku trzyosobowym 9 ludzi" oraz "Był tylko jeden stół na chleb". Oczatano.

/-/ T. Filipowicz.

/-/ M. Andreżowicz.
Sędzia grodzki.

Z oryginałem zgodny

Jankowy
Sędzia Okręgowy Sędzcy
Jan Schön